№ 48. Warszawa, dnia 28 (16) Listopada 1896 roku. Rok XXXVIII.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kop. 10.
Z przesyłką pocztową
Kwartalnie . . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI:
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2 Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3 pf. 50.
Cena ogłoszeń: Za jeden wiersz petitem kop. 12.

Gamaston.

WIARA...

FRAGMENT Z ŻYCIA.

(Ciąg dalszy).

Wkrótce wyszedłem z trybuny i udałem się na koniec placu; czekałem z godzinę, wreszcie zobaczyłem zbliżający się powóz, wysunąłem się z tłumu i kiedy skręcali na plac wskoczyłem do powozu, usiąść jednak nie mogłem, wielki kosz z bukiecikami stał na przedniem siedzeniu. Zdjąłem go, usiadłem i postawiłem sobie na kolanach, musiałem go jednak oburącz przytrzymywać.

Baronowa śmiała się serdecznie i mówiła do towarzyszki.

— Przedstawiam ci afrykańskiego dzikusa, a panu margrabinę d'Arlons.

Pani uśmiechnęła się i odrzekła:

— Bardzo jestem rada, znam pana dawno z jego ubrazów, którymi się zachwycałam. Podałabym panu rękę na przywitanie, ale pan musi kosz trzymać bo spadnie!

Myślałem, że mię piorun ugodził, to był ten czarujący głos, którego tak szukałem, nie wiedziałem czy jestem pod wpływem halucynacyi, czy śnię, wpatrywałem się w jej oczy, w wielkie, głębokie oczy i sam sobie nie wierzyłem żem ją poznał.

Grad bukietów zasypywał nas, ja, trzymając kosz, nie mogłem się zasłaniać, rzucane z siłą kwiaty przyczyniały mi ból twarzy, nie wiedziałem co się ze mną dzieje.

Markiza była wesoła, ożywiona, rzucała bezustannie kwiaty, a ja zapatrzony w jej oczy, siedziałem jak skamieniały, nie wierząc memu szczęściu. Wjechaliśmy na Promenade des Anglais, znów trybuny, znów pociski...

Nakoniec usłyszeliśmy wystrzał, hasło do zaprzestania walki. Sędziowie wręczyli piękną chorągiew jako nagrodę; defilowaliśmy dalej już spokojnie rozmawiając.

Głos markizy upajał mię, słuchałem go z taką rozkoszą, z jaką się słucha cudnych melodyj mistrzów lub śpiewu miłości wolnej ptaszyny... Wdzięków margrabiny nie będę panu opisywać; piękność kobiety jest względną, zależy od indywidualnego gustu i wrażliwości nerwów; ona była dla mnie dziwnie zachwycającą, jej oczy łagodne, czyste patrzały nawet z pewną naiwnością... byłem wzruszony, porwany i oczarowany!

Mieszkała w Nicei od pięciu tygodni, może nawet ją spotykałem, ale nie słysząc jej głosu nie poznawałem.

Baronowa przyjechała dopiero przed czterema dniami, widzieliśmy się w Paryżu, nawet wspominała, że się wybiera do Nicei, ale o tem zapomniałem. Zamieszkała w jednym hotelu z markizą, były koleżankami i przyjaciółkami jeszcze z klasztoru, gdzie razem z moją siostrą wychowywały się.

Po skończonej zabawie, panie się przebrały i zjedliśmy razem obiad w towarzystwie jeszcze dwóch pań i czterech panów.

Wracałem do domu oczarowany, nie wiedziałem co się ze mną dzieje. Miałem już 35 lat, widziałem i spotykałem w mojem życiu wiele kobiet, ale nigdy żadna nietylko że nie zrobiła na mnie takiego wrażenia, ale nawet nie wiedziałem i nie przypuszczałem, że wogóle kobieta jest wstanie zawładnąć tak mężczyzną.

Chodziłem niespokojny po pokoju, już prawie dniało nie czułem potrzeby snu, jakieś dziwne myśli snuły mi się po głowie, marzyłem jak student... postanawiałem wyzwać pod jakimkolwiek pozorem, jej męża i zabić, a ją poślubić... po trupie męża do ołtarza... szlachetne zamiary!... zamęt panował w mej głowie. Nad ranem zasnąłem, a przed pierwszą byłem już z wizytą u baronowej, od której dowiedziałem się, że Magdalena przed sześcioma laty wyszła za mąż bardzo nieszczęśliwie, markiz jest karciarz, wietrznik i hulaka; przeszło rok temu pojechał za jakąś aktorką do Rossyi i nie wiadomo gdzie się obraca. Wiadomość ta niepomiernie mię ucieszyła i zaraz poszedłem do markizy. Mieszkała z kuzynką młodą wdową. Gdy mię przedstawiła, wdówka spojrzała mi w oczy i śmiejąc się mówiła:

— To pan wrzuciłeś przewoźnika do morza, poznaję pana, dzielny majorze!

Markiza pytająco patrzała na mnie.

— Tak, to ja — odrzekłem.

— Brawo! — wołała wdówka, — brawo, klaskała w ręce, to rozumiem, uwielbiam pana.

Zaczęliśmy ożywioną rozmowę, markiza była taką zachwycającą, jej zachowanie tak ujmujące i głos pieszczący duszę, żem wyszedł zakochany. Rzuciła na mnie prawdziwy urok.

Od tego dnia przyłączyłem się do towarzystwa baronowej, markizy i jej kuzyny, z całego męzkiego otoczenia, które miały, oddały mi pierwszeństwo i zawsze jeździliśmy razem do Monte Carlo, Cannes i Grace. Raz w Antibes markiza zachwycała się małym, skalistym przylądkiem na którym stoi latarnia morska. Zrobiłem jej niespodziankę, przez kilka dni ze świtem wyjeżdżałem do Antibes i tam malowałem do południa, wracałem na wspólne śniadanie i nie wiedziano o moich rannych wycieczkach; gdy obrazek zastała w swojem mieszkaniu była niezmiernie uradowaną i wzruszoną.

Czas przechodził tak prędko, że już należało wyjechać a ja mej miłości nie wyznałem; bałem się, nie ufałem sobie, czy uczucie to nie jest czasem jakimś urokiem, który mną zawładnął. Czy skutkiem mego czteroletniego pobytu w Afryce, nie odzwyczaiłem się od eleganckich, pięknych dam i spotkawszy taką, czy nie uległem

jakiejś egzaltacyi, którą jej głos i osoba podtrzymuje. Byłem za uczciwy, aby powiedzieć tej kobiecie to co dla mnie było niepojętem. Czułem, że ją kocham, wiedziałem, że ona mię lubi, przekłada moje towarzystwo nad inne, ale tego było jeszcze za mało.

Dni mego pobytu były policzone. Pojechaliśmy z baronową i wdówką na spacer powozem a kiedy wracaliśmy wieczorem, pociąg z zakrętu wybiegł i przemknął się koło nas. Stangret nie zważał, nie trzymał dobrze koni i te przestraszone czerwonemi latarniami zaczęły biedz szalenie prędko. Kobiety krzyczały; ja siedząc na przeciwko markizy ująłem jej rękę mówiąc:

— Nic nam nie zagraża, konie trochę się spłoszyły, ale nie poniosły, uspokójcie się panie.

Baronowa i wdówka nie mogły się uspokoić, rzucały się, podnosiły na siedzeniach. Markiza spokojna, nie odebrała trzymanej przezemnie ręki i milczała.

— Niech się pani nie boi — szepnąłem.

— Ja się wcale nie boję — odrzekła, ściснąwszy moją dłoń, — wszak pan mówisz, że nie ma niebezpieczeństwa.

Więc mi tak wierzyła i ufała. Jednym skokiem byłem na koźle, ująłem lejce i po chwili spienione konie wryły się kopytami w ziemię, sapiąc i drżąc niespokojnie. Kazałem trzymać lejce, zsiadłem i głaszcząc konie po czołach i klepiąc po szyjach uspakajałem.

Baronowa robiła wymówki stangretowi, że był nieuważny i dopuścił do takiej ostateczności, ten zaczął się śmiać rubasznie; był kompletnie pijany.

Widocznie podczas naszego obiadu upił się w oberży.

Krew we mnie zawrzała i zamierzyłem się na niego laską, gdy usłyszałem:

— Wybacz mu pan, nie gniewaj się, ja proszę...

To był słodki głos Magdaleny.

W jednej chwili cały gniew przeszedł, uśmiech zjawił się na mych ustach; podszedłem do drzwiczek powozu i pocałowałem ją w maleńką rączkę... Siadłem na kozieł i odwiozłem panie do domu.

(Dalszy ciąg nastąpi.)



25 Listopada 1896 roku.

Wielkie magazyny tutejsze wystawiły mnóstwo okrywek futrzanych na zimę. Przeglądaliśmy je z uwagą; ale zastosowane do klimatu paryzkiego, okrycia te nie zupełnie odpowiadają potrzebom naszym. Nie ma tu wcale owych długich do ziemi płaszczy, podbitych lisami lub tumakami. Same widać rotundy, przechodzące poniżej stanu, obcisłe żakiety i paletoty wolno puszczone, sięgające do kolan. Jeśli niektóre podbite futrem, to bardzo lekkiem, zwykle popielicowem, a najczęściej watą przypikowaną do atłasu lub surah. Francuzki noszą ciepłe spódniczki z wełny pyrenejskiej, to im zazwyczaj wystarcza. W krótkich za to okrywkach, rotundach, paletotach i pelerynach wielka panuje rozmaitość. Dopełnienie wszystkich stanowi wysoki kołnierz Medicis podniesiony całkiem na uszy. Rotundy i paletoty z wydry norweskiej, bobra i baranka astrachańskiego, zwrócone futrem na wierzch, okładane są bandą z futra kozy mongolskiej, chinchilli, albo amerykańskiego zwierzątka *Moufflon* z włosem popielatym, podobnym do baranka.

Po tych ogólnych uwagach, przystępujemy do szczegółów, zaczynając od długich okrywek.

Płaszcz do ziemi z ciemno-zielonego sukienka, krajany okrągło, bez rękawów, w górze przyfałdowany, podbity popielicami, obłożony futerkiem moufflon. Wysoki kołnierz Medicis, cały z sukienka, ma tylko futrzane obłożenie. Od szyi na każdą kontrafałdę idzie długa na ćwierć łokcia klapka z pasmanteryi czarnej jedwabnej, zachodząca też wązko na podniesiony kołnierz. Takich klapek przechodzi siedm w koło.

Drugie okrycie z wigoniu w kolorze szarym, w formie długiego do ziemi surducika. Plecy wcięte, przody wolno puszczone, zapięte wzdłuż piersi na wielkie guzy z ciemnej konchy perłowej. Rękawy średniej szerokości u ramienia, zwężone u ręki. Na piersiach odwinięte wyłogi z czarnej kozy mongolskiej, takiż kołnierz Medicis. Po bokach surducika szerokie kieszenie z klapką czworograniastą, przepikowaną brzegiem w maszynie.

Trzeci paletocik do kolan wolno puszczony (*paletot sac*), z czarnego sukienka, podbity pikowaną materyą. W tyle ułożona szeroka kontrafałda, naszyta cała w deseń jedwabnym sutaszem, z obu stron kontrafałdy, wązki odpowiedni szlaczek. Wzdłuż przodów obłożenie z astrachanowego baranka, po za tem naszycie z sutaszu. Kołnierz ogromny, podniesiony do góry, sukienny, podbity barankiem.

Czwarty, bardzo ładny płaszczyk z czarnej wełnianej tkaniny, broszowany w jedwabny deseń, podbity popielicami, sięga do ziemi. Plecy wcięte, zamiast futra ciepło podwatowane, zarówno jak i tylny bryt, ułożony w stanie we dwie głębokie fałdy wpuszczone do środka. W górze od szyi okrągły karczek, otoczony na wszyciu pasem kozy mongolskiej, z tegoż futra kołnierz Medicis wysoko podniesiony w górę. Od karczka spada peleryna, poniżej stanu, otwarta w plecach na ćwierć łokcia; peleryna ta tworzy po bokach rękaw, objęty u ręki futrem kozy.

Piąty płaszczyk do kolan z ciemno-granatowego sukna, całkiem podbity astrachańskim barankiem, puszczony wolno tak z przodu jak i w tyle. Oba przody obłożone szeroko barankiem, wyłogi te rozszerzają się w górze i tworzą wielki kołnierz podniesiony do góry. Rękawy średniej szerokości u ramienia, zwężone u ręki, bez mankieta; zastępuje go barankowy manszonik. Przody zapięte na pletnie szmuklerskie i baryłki; można je zostawić otwarte.

Szósty paletocik z astrachańskiego baranka zwrócono futrem na wierzch, plecy wcięte cokolwiek, przody wolno puszczone, spięte na niewidzialne haftki. Kołnierz Medicis wysoki. Rękawy średniej szerokości, krajane całkiem prosto, przyfałdowane od ramienia, spadające u ręki.

Siódmy paletocik z wydry amerykańskiej, obłożony na przodzie futrem gronostajowem na cztery cale. Kołnierz wysoki barankowy, odwinięty po bokach, podbity gronostajem.

A teraz przejdźmy do rotond i mniejszych peleryn.

Rotonda *Alix* z futra bobrowego, obłożona do koła tumakami, kołnierz wysoki tumakowy.

Druga rotonda krótsza, sięgająca ledwie poniżej stanu, złożona z dwojakiego futra. Karczek w formie chusteczki, tak z przodu jak na plecach, z czarnego baranka. Do tego przytwierdzone płasko ogromne epolety z kozy mongolskiej, wszystko to razem, ma formę okrągłej peleryny. Kołnierz do tego wielki, podniesiony, od spodu astrachański, od wierzchu z kozy, z długim, połyskującym włosem.

Trzecia rotonda z wydry szkockiej, długości metra, podbita materyą czarną, kołnierz wysoko podniesiony do góry, spięty na dwie główki tegoż zwierzątka, z pod każdej wybiegają dwie puszyste kitki.

Czwarta rotonda wizytowa nie zbyt długa, z wydry norwegskiej. U dołu naszyta chinchillą, wycięta w szpiczaste zęby, do góry odwrócone. Kołnierz wysoki z chinchilli.

Paletoty i rotondy z futrem zwrócone na wierzch, stanowią pierwszą modę, ale cena ich nie dla wszystkich dostępna; widzimy też wiele okrywek, podbitych tylko popielicami lub królikami. Robią je z aksamitu półjedwabnego (*velours du Nord*) z sukna w różnych ciemnych kolorach, z szewiotu, wigoniu i gładkiej materyi jedwabnej. Niektóre naszywają w deseń sutaszem. Co do paletocików najwięcej widać puszczonych wolno dokoła, zwanych *paletot sac*. Te mniej zgrabne, ale nierównie wygodniejsze od żakietek, bo nie gniotą ubrania. Rękawy u nich średniej szerokości.

Oprócz tego, magazyny przygotowały w tym roku mnóstwo małych wizytowych okrywek, wielka w nich rozmaitość. Składają się zazwyczaj z dwojakiego futra.

Oto kilka modeli:

Palatyna Marie Antoinette, z długimi końcami. Naprzód idzie chusteczka z bobrowego futra, zaokrąglona w plecach; sięga tylko do stanu. Wkoło dane obłożenie z popielatego futra moufflon, takież końce popielate spadają długo naprzód spódnicy. Kołnierz Medicis zarówno popielaty.

Druga chusteczka mała, z czarnego astrachanu, dochodzi zaledwie do pasa. Na ramionach przyfałdowane epolety z białej kozy mongolskiej, takiż sam kołnierz Medicis, od niego przechodzi wzdłuż piersi obłożenie białe z przedłużonymi końcami.

Trzecia chusteczka z zielonego aksamitu, zahaftowana czarnym jedwabiem, tworzy zaledwie karczek. Wkoło idzie szeroki na pół łokcia pas kozy mongolskiej, przymarszczony na ramionach. Kołnierz u szyi wązki aksamitny, zakończony wgórze puszystem futrem kozy.

Wielki zakład krawiecki Wortha, wystawił cały zbiór wspaniałych strojów, przeznaczonych do Wiednia na ślub księcia Orleanu z arcyksiężniczką Dorotą.

W strojach tych wystąpić miały księżne z rodziny orleańskiej i wielkie panie francuzkie, zaproszone na gody. Ta wystawa urządzona była głównie dla klientelli domu, przystęp do niej nie był jednak utrudniony, zwłaszcza korespondentom do pism zagranicznych.

Pomijamy opis tych wspaniałych sukien, ze złotolitych brokatelli i najpyszniejszych tkanin jedwabnych, na jakie zdobyły się fabryki lyońskie, te bowiem służyć tylko mogą na dworskie wystąpienia. Zaznaczymy tylko ogólny ich charakter, gdyż w nich widzimy ostatni wyraz mody zimowej. Otóż forma spódnicy, nie różni się wcale od przyjętej w ostatnich latach, przód u nich płaski, fałdy skupione w tyle. U jednych przód otwarty, pod spód udrapowana koronka na atłasie, u innych otwory zostawione od dołu po bokach, tworzą słupy zapełnione koronką i kokardami. Dół spódnicy czy to powłóczysty czy okrągły nie ma garnirunku, co najwięcej kończy je wązki pasek sobolowego futra, lub wązka ruszka z tiulu jedwabnego. Rękawy czy to krótkie, czy długie, bez wyjątku małych rozmiarów; tworzy je buffa lekko nafałdowana u ramienia!

Rzecz godna uwagi, że przy tych okazałych strojach ubranie głowy nadzwyczaj skromne. Ryciny z tych dworskich festynów, pokazują nam wszystkie głowy utrefione w najrozmaitszy sposób, bez piramidalnych koków, bez piór i kwiatów, a nawet bez dyademów z brylantów i pereł, czasami tylko wpięta z niechcenia maleńka egretka marabutowa, zaledwie dostrzeżona okiem.

Włosy nad czołem ułożone rozmaicie, to podniesione do góry w natapirowany wałek, z pod którego spada parę leciuchnych strzępków, to znów mała fryzurka zwrócona do skroni, zasłania w części ucho. Starsze nawet panie, matki rodziny a nawet babki, jak księżna Chartres i księżna de Luyne, nie miały na głowie innego ubrania, prócz utrefionych włosów.

Seweryna Duchińska.

ZKĄD SIĘ BIORĄ PRZESTĘPCY?

Obrazek z niedawnej przeszłości.

(Dokończenie.)

— Niechże cię! dyable jeden—odezwał się Mateusz, mocując się z siekierą, której na żaden sposób z drzewa wydobyć nie mógł, — żebyś ty tak tatulowi dołożył, toby się i przeżegnać nie zdążył.

— Ba! żeby to! — mruknął chłopak przez zaciśnięte zęby, patrząc takim wzrokiem, jakiego u niego nie spotkano jeszcze.

— No, nie psuj sobie krwi — perswadował stary. — Przyjdzie czas, przyjdzie rada!

— Nie przyjdzie, bo na to rady nie ma.

— Mówię ci: czekaj...

Nie umiał Józiek czekać. W parę dni potem, chłopak, który od owej bójki ostatniej, szukał zwady ludzkiej, jak strawy dla siebie najpożądańszej, wdał się w awanturę. Tylko że tym razem zajście miało miejsce na granicy, a przeciwnikiem była niestety straż graniczna. Zaszła owa utarczka między strażą a przemytnikami i Józiek widząc, że z ostatnimi krucho, instynktem, który mu zawsze nakazywał brać stronę słabszego przeciw mocniejszym, wdał się w tą biedę najniepotrzebniej, i wkomplikowany został do sprawy.

Uwzględniono tam wprawdzie, że przemytnikiem sam nie był, ale zawsze dostało mu się trzy miesiące więzienia, a policzywszy czas śledztwa, przesiedział zimę całą.

Kiedy powrócił, był to istotnie inny zupełnie człowiek. Zbiedzony, odarty, miał wygląd i spojrzenie prawdziwego opryszka, tak, że i stary gajowy rad mu już nie był teraz.

Kiedy go Józiek zagabnął, co tu słychać we wsi, odpowiedział mu z pod wąsa, nie wyjmując z ust fajki:

— Słychać, że był taki głupi, co mu niedaleko było do gruszki—ot byle ręką sięgnąć, a teraz...

— No cóż teraz?

— Teraz niech sięga dokąd zechce. Teraz już i ja ci powiem: idź zkądeś przyszedł.

— Czy oni tam także tak mówią?

Oni to znaczyło Czerwińscy.

— A ty coś myślał?

— Cóż to ja złodziej jestem, czy co?

— Złodziej nie jesteś, aleś się ze złodziejami wysiedział przez pół roku całe. I to przecie nie honor.

— A wy mówicie zawsze, że teraz już wszystko na nic?

— Sameś winien przecie, ja ci powiadałem: Czekaj! Ładnieś czekał!

Józiek rozumiał to inaczej zupełnie. Winowajcą podług niego był tylko ojczym, ale swoją drogą rady starego usłuchał i poszedł tam zkąd powracał. Wiedział, że ci, do których się miał udać, z pewnością jego pomocy nie odrzucą. O tem przekonany był zupełnie, bo mu też to za kratą nie raz jeden powtórzono.

Poszedł pomiędzy nich, został tam, ale od pierwszego dnia poczuł, że to nie jego żywioł, że ani mu tu będzie lepiej niż gdziekolwiekbądź, ani przed troską i złą dolą swoją nie ucieczę. Cudzy on był ludziom, ale i tu mu swojo nie było. Pchało go coś do przygód, do niebezpieczeństwa i hazardowania skóry własnej, ale oddychać występkiem nie mógł; dusiła go atmosfera pijacza, targi o grosz z żydem przedsiębiorcą, który handlował jego życiem, wreszcie kłóła i dolegała pogarda ludzka, której bądź-co-bądź ofiarą jest przemytnik z professyi. Niby to poufali się z takim w razie potrzeby rolnik osiadły, nie odrzuci on i pośrednich korzyści, jakie mu taki stosunek przynieść może, ale ani się z przemytnikiem pokuma, ani mu dziecka swego nie odda z pewnością.

Wiedział to wszystko Józiek, sprawdził nawet na sobie samym, ale niemniej zapisał się do cechu i ugrzązł tam ku niemałej korzyści stowarzyszenia całego, którego członkowie wprędce się nauczyli najgorętsze zarzewie wyciągać z pieca jego rękami, oddając mu za to okruchy zaledwie zysków swoich—niekiedy bardzo wysokich w rzeczy samej.

Podejrzewać, nie podejrzewał go nikt ze stowarzyszonych, boć wiadomo im było dobrze, że taka szalona pałka zdrady w zanadrzu nosić nie może, ale niepokoiło naczelników bandy to, że Józiek Górecki był tu rodzajem intruza, że ten co dziś stawał na zawołanie, potrzebny, użyteczny i gotów do usług, jutro otrząśnie proch z nóg, plunie na rzemiosło hańbiące, i wróci między ludzi. A mógł wrócić Józiek, gdyby był chciał, bo ani był znany, ani poszukiwany, ani podejrzany dotychczas. Ze stowarzyszonych każdy miał swoje stare ze sprawiedliwością zatargi, swoich kilka wyroków i różnych rozgrzeszeń z nadmienieniem „dla braku dowodów." Józiek raz jeden karany za burdę zwyczajną mógł sobie nie być dość czystym dla spokojnego rolnika, ale dla profesyonistów z zawodu, białym on był jeszcze jak śnieg na górach, a przez to ani stowarzyszonym na życie, a tem mniej zaprzedanym w niewolę bez możności wycofania się.

Rozważali to już od jakiegoś czasu przewodnicy bandy, a że im Józiek coraz większe oddawał usługi, że dosyć było miłość jego własną kilku słowami połechtać, aby do szaleństwa prawdziwego nakłonić, więc razu pewnego w rozmowie z rudym Matusem—rzeczywistą głową bractwa i pośrednikiem z okolicznem żydowstwem, poruszono przy wódce sprawę jakiegoś pewniejszego sposobu na tego, którego za wolontaryusza uważano dotąd.

— Niewyraźny on jest — mówił Matusowi jego najbliższy doradca, — a z takich to nigdy pociechy na długo.

— Co wy od niego chcecie? Do roboty staje na zawołanie; głupi jest przytem i złapie za każdy ochłap, który mu się ciśnie, więc o co chodzi?

— Ba, o co chodzi! Ja tam nie lubię tego, żeby o mnie, kto więcej wiedział, jak ja o nim. Z takim, to zawsze człowiek musi być jak z jajkiem. Jemu tak z oczu patrzy, jakby on był co lepszego jak drugi.

— A bo lepszy. Od was wszystkich lepszy i więcej wart niż cała kupa wasza razem.

— Obaczycie Matusie, że wy się przerachujecie na nim.

Nie odpowiadał na razie ten, którego ostrzegano, ale znać było, że mota sobie coś na wąs a gdy się dnia tego rozchodzili z karczmy do domów, powiedział krótko:

— Tego młodziaka zostawcie mnie. Może być, że wasza prawda, ale to się na to poradzi, tylko, żeby mi się nikt do roboty nie mięszał. Zostawcie go w spokoju, bo zły jak dyabeł kiedy go podrażnić, a wy się z nim przekomarzać lubicie.

W parę dni potem zawołano Józka do rudego Matusa; stary przemytnik miał interes do miasteczka, chciał się wyręczyć nim, bo to o pieniądze chodziło, a tu jak mówił nikomu wierzyć nie było można. Pochlebił Józkowi kilku słowy, a wreszcie niby od niechcenia rzucił:

— Psia robota to wszystko razem. I ciebie, i mnie szkoda do niej. Więcej strachu jak zysku.

— Co tam strach!

— Ba! dobrze ci żeś młody, i ja byłem młody, to mi pachniało w te czasy.

— Mnie tam nie pachnie wcale, choćem nie stary.

— Ja też to widzę. Ciśnij do dyabła wszystko póki czas.

— I gdzie pójdę?

— Albo to u ciebie taka bieda jak u drugiego. Pójdziesz se do Poręby i będziesz siedział, jak u Pana Boga za piecem.

— Do Poręby? Zwaryowaliście czy co? Tyle mojego w Porębie co i waszego. Poręba! Bodaj się ona pod ziemię zapadła!

— Za cóż Poręba? Niech się pod ziemię zapadnie ten, co cię obrał i z ojcowej chaty na świat wyrzucił niby psa jakiego.

Józkowi błysnęły oczy złowrogo, ale się hamował. Stary obserwował go z pod oka.

— Dobrze to takiemu jak ten Jasiek — prawił dalej powoli.

— Który?

— A no choćby ten ojczym twój. Znam ci ja go jak swoją kieszeń i nie od dzisiaj. Żeby tak...

— Żeby tak co?

— No... nic, tak sobie mówiłem.

— Gadajcież, kiedyście zaczęli.

— Co tu gadać? Na mazgaja trafił... i tyle tego.

— Ja mazgaj?

— A cóżeś ty? Tamten się rozpiera na twojem dobru, a ty się wycierasz nocami jak pies po kątach, a w dodatku nadstawiasz łba nieraz za ten wiatr co wieje.

— Poradźcież co na to.

— Już ja bym jemu poradził.

— Starzy jesteście a gadacie byle co. Co mu zrobię? Łeb mu ukręcę?

— A choćby.

— To dopiero wygram. Wezmą jego dyabli, ale i mnie z nim razem.

— Ja tam już taki jestem, żebym nie pytał i na to, a wreszcie—od czego rozum?

— No, powiedzcie jak.

— Co tobie powiedzieć, kiedy ty sam nie wiesz. Ja mówię, że gdyby to na mnie było padło to, albo by on już dawno ziemię gryzł, albo bym im tam przynajmniej tak zaświecił, żeby mnie popamiętali do końca życia.

— A matula?—szeptał resztą skrupułów zdjęty biedak.

— Niechże cię! kiedy ty jeszcze o takiej matce myślisz... No, idź z Bogiem — powiedział, widząc że Józkowi gorzeją oczy jak dwie świece w ciemną noc.

Mógł go istotnie odesłać już teraz, bo wiedział, że takie postanowienie potrzebuje dojrzeć w człowieku. Józkowi ta myśl nigdy w głowie nie postała dotąd, ale wyraźnem było, że zagnieździwszy się raz, już wyrwać się ona chyba nie da żadnym sposobem.

* * *

Noc ciemna choć oko wykol. Wiatr pędzi chmury od zachodu, a tam od rzeczki płynącej wzdłuż granicy, przedzierają się przez haszcze dwie postacie ludzkie. Zrazu stają co kilkadziesiąt kroków i nasłuchują, a po wydobyciu się na czyste pole przypada jeden do ziemi i przykłada ucho; towarzysz jego stoi nad nim i zapytuje.

— Pojechali?

— A jakże. Przecie im się trop do rzeki pokazało. Pół wiorsty idziemy w tył, aż mi w kolanach trzeszczy. A świeciły bestye zapałkami i szukali śladów. Brrr!... zimno!

— Ba! znużałeś się w wodzie jak kaczka, to ci zimno.

— Jak się nie znużać, kiedy wy wszyscy do pieniędzy zawsze gotowi, a do roboty was nie ma. Jakże było rzucić wszystko—to jeszcze przecie gorzej, bo byliby dośladowali jutro.

— No nie ma co—zawinąłeś się gracko, a teraz byle się do Suchy dostać, to się w karczmie osuszysz i ogrzejesz. Nie daleko już.

Po jakimś kwadransie dotarli wreszcie do owej Suchy, ale już z przed karczmy chciał Józiek wracać. Gorzał budynek cały od świateł, a przez otwarte drzwi i okna dolatywał gwar ludzki i odgłosy muzyki. Najwyraźniej obchodzono tam wesele jakieś wiejskie.

— Chodź!

— Nie pójdę. Będą tam oni znowu patrzeć na człowieka niby na psa jakiego; oni zawsze tak, jak się wejdzie w gromadę; idźcie sami.

— Mówię ci chodź! Ani wiesz co tam zobaczysz. Na takie gody nie spodziewałeś się trafić dzisiaj. Dalej!

Przemocą wprowadził Józka za sobą. Gdy weszli, czas jakiś wodzili po ciżbie ludzkiej oczami nie mogąc nic rozróżnić. Tłum zbity, opary wódki w powietrzu, jakaś niby muzyka złożona ze skrzypiec i bębenka, rzępoląca jak się zdawało resztą sił u komina, zresztą hałas głosów zmięszanych i tłum różnobarwny — oto wszystko, co tu rozróżnić mogły oczy i uszy człowieka. Zwłaszcza oczy wchodzącego niewiele miały do roboty zanim się oswoiły ze światłem. Józiek nie widział nic, a rudy Matus chociaż nie więcej od niego widział, ale zato wiedział wszystko co mu było potrzeba. Inaczej byłby tu Józka przemocą prawie nie wciągnął za sobą. Gdy tak się rozglądają, nie mogąc się bliżej ku środkowi posunąć od proga, zrobił się zamęt niespodziany, tańczące pary zatrzymały się na środku, a tam, z głębi odzywały się teraz same już tylko słabe, miarowe uderzenia w bębenek; skrzypka zamilkła niespodzianie.

— Macie teraz biedę! zatoczył się psia para pod ławę i leży jak nieżywy — zawołał któryś z weselnej drużyny.

— A nie mówiłem to, żeby w niego tyle nie lać. On tak zawsze poganin zrobi; radźcież teraz kiedyście tacy byli mądrzy!

— Skrzypka dawajcie! Skrzypka choćby z za dziesiątej granicy!

— Choćby z pod ziemi!...

Takie głosy słychać było dokoła. Naraz odezwał się ktoś ochrypłym basem.

— Ani za granicę, ani pod ziemię nie trzeba. Jest tu i skrzypek ze mną.

— Kto, gdzie? Dawaj go tu! Czapkę pieniędzy nasypiemy, a graj byle ostro.

— Mruk! Józiek—mruk! Kajetaniak! Dobry taki! No, to trzeba twego szczęścia, żebyś ty takiego muzykanta dostał — odezwał się ktoś do pana młodego. — Przepij do niego i dawaj mu skrzypce w rękę, a zobaczysz co on potrafi!

Józiek odsunął blaszankę instynktownie — jak wiemy nie lubił wódki.

— Pij — wołał tłum nietrzeźwy, — pij i graj jeśli ci miłe życie! — zahuczała karczma cała.— Wypij — szepnął mu do ucha rudy Matus, — wypij bo tu żartów nie ma, a zresztą zobaczysz sam że warto...

Józiek wypił. Wypił i zagrał im, ale zagrał tak, że oprzytomnieli wszyscy odrazu. Co było usypiających otrzeźwiło się jak gdyby im kto zarzewia pod nogi nasypał — kto był jeszcze rzeźwy ile tyle dotąd, teraz krzesał hołubce i przytupywał, aż się tumany z podłogi podnosiły do pułapu.

Ani wiedział Józiek jak się tu znalazł, ani się spodziewał, że mu grać każą, a najmniej już domyślał się dla kogo mu grać kazał jego towarzysz i przewodnik. Pojono go, a że nie przyzwyczajony był do trunku, więc mu żyły wystąpiły na czole jak bicze, a jakaś siła nieznana mu dotąd kierowała ręką ku podziwowi wszystkich i jego samego nawet.

Rudy podchodził do niego kilka razy, przyglądał mu się bacznie, a nareszcie kiedy jakiś parominutowy przestanek się trafił, i na środku karczmy spokojniej się zrobiło, szepnął mu do ucha:

— A Czerwińszczankę widziałeś?

— Nie widziałem. To ona tu jest?

Józiek naprawdę nic nie wiedział i niczego się nie domyślał.

O czem dumał, gdzie patrzył, samby powiedzieć nie mógł. Ta skrzypka grała mu tak samo zupełnie, jak niegdyś on wicher po konarach boru co się po za błoniem Poręby rozciągał, a on tak wsłuchał się duchem w pieśń przebrzmiałą swojej minionej młodości i swego utraconego szczęścia. On by tego z pewnością co się z nim działo nazwać nie potrafił, ale tak było a nie inaczej, bo przecież tę swoją Maryś, która się sto razy około niego w tańcu otarła, byłby dojrzał z pewnością.

— Żeby jej tu nie było — cedził szyderczo kusiciel, — toby tu nikogo nie było.

— Jakże to? Gadajcie wyraźnie, bo was dyabeł sam nie zrozumie dzisiaj.

— Chcesz wyraźnie, to ci powiem wyraźnie. Toż ty głupi grasz na weselu swojej dziewczyny.

A wraz z tem słowem odezwały się wrzaski w karczmie:

— Józiek graj, a od ucha!

Ale Józiek już nie zagrał więcej dzisiaj. Pierwszemu, który mu drogę zastąpił rozstrzaskał o pijany łeb skrzypkę pożyczoną, w dwóch susach stanął przy oknie, i znikł gdzieś w ciemnościach nocnych.

Drzwiami przez tłum dostał się za nim rudy Matus a chwyciwszy za ramię szepnął mu w ucho:

— Tatulowi idziesz się pokłonić do nóg? Dobrze robisz. Naści że tu ten kłak konopi, umaczany w nafcie i pudełko z zapałkami, to ci się przyda. A wracaj duchem! Ja idę do domu.

* * *

Dwa cienie pomknęły, każdy w swoją stronę. W karczmie jakiś czas słychać było wrzawę głosów zmięszanych, potem tylko pojedyncze pokrzykiwanie mocniej zachmielonych trunkiem, aż po jakiej pół godzince może, któryś z tych co wyszedł powietrza zaczerpnąć, krzyknął na gardło całe:

— Gore!!

Wybiegli ludzie przed karczmę, przypatrywali się wszyscy, a ktoś z przytomniejszych odezwał się:

— To Poręba.

— A jużci chyba, że Poręba — zawtórowano z różnych stron.

Szereg cały krzywd i niesprawiedliwości wydał nakoniec swojego przestępcę!

α.

O Froeblowstwie.

SŁÓW KILKA.

Przed dwoma laty już, jak sobie to zapewne czytelnicy „Tygodnika” przypominają, protestowaliśmy przeciwko działalności osób, bardzo niedostatecznie do zawodu pedagogicznego przygotowanych, które przyswoiwszy sobie metodę Froebla, a właściwie wyuczywszy się rozmaitych klejeń i wyszywań, przystępują śmiało do wychowywania młodych pokoleń. Zwracaliśmy także uwagę na

ujemne — zdaniem naszem — strony, tej tyle sławionej metody.

Obecnie kwestya ta poruszoną została w paru pismach jednocześnie. Z kilku stron naraz podniosły się zarzuty przeciwko tak zwanym „Freblankom,” których kierunkowi z zaufaniem bezwzględnem, płynącem w znacznej części z wiary w wynoszoną tak wysoko metodę niemieckiego pedagoga, powierzano dotąd dziatwę naszą. Dowodzi to, że rezultaty nie odpowiedziały oczekiwaniom, i że na smutną prawdę tę zaczynają nam otwierać się oczy.

Dotychczas jednak obarczone zostały zarzutami tylko przedstawicielki systemu. Ich to nieudolność jakoby wykrzywia genialne idee Froebla. Przeciwko metodzie samej nie podniósł się dotąd w pismach ani jeden głos, choć wiadomo nam, że wśród publiczności, w kołach ludzi zdolnych do samodzielnego sądu, oddawna już nie cieszy się ona tem uznaniem bezkrytycznem, jakiego dowody przy każdej sposobności składała jej prasa nasza.

Że dziewczęta mało oświecone, nie myślące, nie zdradzające specyalnego powołania pedagogicznego, nie mogą po przejściu kursów freblowskich stać się pożytecznemi wychowawczyniami, pokoleń, że powinny pozostawać pod stałym kierunkiem osób światlejszych, o szerszych horyzontach widzenia, jest, zdaje się, rzeczą tak prostą, tak nie wymagającą dowodów, że niepodobna oprzeć się zdziwieniu wobec krótkowidztwa, nieopatrzności, czy niedbalstwa rodziców, których o pewniku takim przekonywać potrzeba.

Co do nas, kwestyę bon freblanek pozostawiając tym razem zupełnie na stronie, pragnęlibyśmy powiedzieć słów parę, dotyczących samej metody.

Jeżeli przyjmiemy, że wychowanie jest to w najszerszem znaczeniu tego wyrazu, oddziaływanie człowieka na człowieka, umysłu na umysł, duszy na duszę, sam wyraz *metoda*, zastosowany do tego procesu psychicznego razić nas musi. Metoda to narzędzie, to smyczek, którym pociągając po strunach duszy, mistrz wydobędzie z nich bogactwo melodyj. Ten sam smyczek prowadzony ręką nieudolną, wywoła zgrzyt, dysharmonię przykrą i rażącą. Tak — powiedzą nam — ale są prawidła, są reguły, do których mistrz największy, improwizator natchniony stosować się musi. Zapewne, są prawidła, ale dla każdego instrumentu inne, a każda dusza to instrument odmienny, nieznany, a w najwyższym stopniu złożony—instrument, którego tajemnice odkrywać i badać potrzeba.

Bez wątpienia Froebel był artystą takim, był znawcą dusz dziecięcych, był nadto sam duszą pełną poświęcenia i miłości. W dziełach jego znajdzie pedagog wiele myśli trafnych i głębokich. Działalność jego przedstawia przykład godny naśladowania wogóle, nie w szczegółach drobnych i bez znaczenia, jak się to praktykuje u nas, wbrew ostrzeżeniu samego Froebla zawartemu w słowach: „naśladujcie myśl, nie zaś formę.”

Stosując z niewolniczą wiernością wszystkie drobiazgi froeblowskiej metody, postępowaliśmy jak ów Chińczyk, który dostawszy na wzór znoszony surdut europejski, postarał się nietylko o naśladowanie kroju, ale i najdokładniej odtworzył wszystkie plamy i dziury przysłanego mu odzienia.

My nadto odzienie froeblowskie, skrajane na wzrost i miarę niemieckiego dziecka, włożyliśmy na nasze, bez poprzedniego dopasowania, bez uwzględnienia, że jemu w tem ubraniu zaciasno być może, że ono krępować je będzie i tamować jego rozwój normalny. Mówiąc bez porównań i przenośni, nie wzięliśmy pod uwagę różnic plemiennych, nie przyszło nam na myśl, że metoda powstała na gruncie doświadczeń nad dziećmi niemieckiemi czynionych, na znajomości ich wybitniejszych cech moralnych i umysłowych oparta, nie może być z pożytkiem stosowaną w całości do dzieci naszych.

Wogóle nie opuściły nas jeszcze instynkta papuzie, o które z taką goryczą oskarżał nas poeta. Niedostatecznie pojmujemy dotąd, że wytwory cudzej myśli, owoce cudzych prac rzadko kiedy służą ku moralnemu zdrowiu tych, co przyswajają je sobie tak chciwie, pośpiesznie i bez wyboru, jak my.

Nie przejęliśmy się dość silnie pewnikiem, że nam własnych niw ziarna hodować potrzeba, nie przenosić na glebę naszą coraz to innych, pod obcem niebem, wśród odmiennych warunków dojrzewających nasion.

Co do różnic plemiennych, o których wyżej mowa, nie znajdzie się prawdopodobnie nikt, ktoby istnienie ich chciał podawać w wątpliwość.

Józef Szujski w swych *Portretach nie Van Dycka*, mówiąc o ludzie niemieckim i naszym, wyraża się mniej więcej w sposób następujący: Charakterystycznem jest, że z Niemcem rozmawiać można tylko o jego specyalności, z młynarzem — o młynarstwie, z rolnikiem — o roli, z kupcem — o handlu i t. d. Podług zajęć też tworzą się tam grupy towarzyskie. Ludzie oddani pewnej gałęzi pracy schodzą się, by pogawędzić o wszystkiem, co pracy tej dotycze.

Przedmiot nie zostający w związku jakimś z tą pracą, w rozmowie ich wyjątkowo tylko poruszanym bywa. Inaczej zupełnie u nas. Z wieśniakiem naszym możesz w rozmowie dotknąć spraw najrozmaitszych. I bylebyś mu tylko myśli twoje podał w formie dlań dostępnej, przekonasz się, że on o rzeczach nie nasuwających się codziennie jego uwadze, o rzeczach leżących daleko poza zakresem trudów i trosk jego, posiada własne, wyrobione zdanie, uderzające nieraz trafnością i głębią.

To zestawienie, wynik bystrej obserwacyi znakomitego pisarza, powinno dać nam wiele do myślenia. Istotnie postać filozofa wiejskiego ze spuszczoną głową kroczącego za pługiem i zadumanego o rzeczach bożych to nie wymysł poetów i powieściopisarzy, to postać żywa, znana dobrze tym, co przebywając wśród ludu umieją patrzeć nań, i są w stanie rozumieć. Taki samorodny myśliciel stawia sobie i rozwiązuje własnemi siłami zagadnienia etycznej lub społecznej natury, rozumie i odczuwa życie przyrody, osiąga nieraz w kierunku tym pewne zdobycze, zwracające nań uwagę.

W każdym razie myśl jego ulatuje wysoko po nad powszedniości codziennego bytu.

Bezwątpienia jest to postać wyjątkowa, ten pierwotny oracz lub pasterz-myśliciel, ale charakterystyczne cechy duchowej organizacyi jego — zdolność ogarniania szerokich horyzontów, pewną wielostronność nie pozwalającą mu zasklepiać się w tem, co materyalną stronę bytu jego stanowi, wyobraźnię bogatą i obrazową, intuicyjność, dar jasnowidzeń potężnych i nagłych, wszystkie cechy typowe umysłowości aryjskiej spotykamy na każdym kroku wśród naszych mass ludowych.

Te same pierwiastki kulturą całego szeregu pokoleń spotęgowane, stanowią podścielisko intellektualne naszych warstw oświeconych, a dzieci warstw tych zdumiewają i przerażają częstokroć pośpiesznym, przedwczesnym rozwojem.

Nauczycielki freblanki wiedzą dobrze, jak niewdzięczną u nas rzeczą jest manipulowanie *darami* freblowskimi, jak łatwo dzieci nudzą się tem wszystkiem, jak wyjątkowych potrzeba zdolności i wysiłków, by niektóre z nich nakłonić do tej *zabawy*. Ale te same dzieci godzinami całemi z rozkoszą przysłuchują się fantastycznej bajce. Bo tych umysłów dziecięcych baśń jest pokarmem przyrodzonym, ona im mlekiem matczynem, które ssać będą z pokolenia w pokolenie.

Metoda niemiecka nudna, sucha, od pojęć, uczuć, obrazów zwracająca je ku rzeczom i ich stosunkom pomiędzy sobą, ta metoda zabawy i nauki jest przeciwną naturze ich zdolności.

Umysły ludów słowiańskich w zestawieniu z umysłami niemieckimi to lotne ptaki przy żółwiach powolnych. Nie upatrując w tem bynajmniej wyższości bezwzględnej naszego plemienia, sądzimy tylko, że z właściwością tą, z różnicami temi liczyć nam się należy, że należy wziąść pod uwagę, czy istotę obdarowaną skrzydłami uczyć potrzeba pełzania po ziemi, czy uskrzydloną myśl dzieci naszych zatrzymywać warto przy klockach, mozajkach, pręcikach i t. p?

H. C.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Antoni Miecznik.

OWANES OHANA.

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

Antoniewicz był wesół, stał się jakiś rozmowny, rozbawiony; wydawało się, jakby go dopiero teraz gwar jarmarczny bawić zaczynał, a hałas i wrzask podniecały do uciechy. Precz rozmawiał z Russem, prawiąc mu przeróżne dowcipy słyszane i czytane w Wiedniu. Ohana postępował za nimi ze Stefanem i pannami, starając się je zająć opowiadaniem dawnych swych przygód jarmarcznych, choć myśl mu biegła za nią, za tamtą jedną. Czuł w sobie jakby połowę tylko duszy własnej, kiedy tymczasem druga połowa oderwała się i uleciała ku Helenie.

W zajeździe zastali już prawie całe sąsiedztwo: braci, kuzynów, znajomych. Jedni wyjeżdżali, inni zabierali się dopiero do odjazdu, a inni zamierzając spędzić noc w Otakach, rozprawiali głośno, uwijając się po dziedzińcu zapchanym końmi, wozami, szarabanami.

Ohana rozmawiał z paniami wesoło; udawał swobodnego i wtórował dowcipom pana Kajetana.

Tymczasem starszy z braci Antoniewiczów zapytał drugiego:

— A więc widziałeś te składy, elewatory, kantory naszej spółki?

— Naturalnie. Wygląda to na oko wspaniale. Takich zabudowań Bessarabia pewno w tych okolicach dotąd nie widziała.

— To jego dzieło. Spółka idzie dobrze, pójdzie jeszcze lepiej, bo to sprytna bestya.

— Ale cóż właściwie mówiąc, robi Szymonowicz w tym całym interesie?

— Jest prezesem towarzystwa. Człowiek sumienny, stateczny, cóż dziwnego? Zresztą na niego jako na przedstawiciela interesu wskazał sam inicyator, nadający ruch całej machinie handlowej. Duszą jest Ohana, a ten to... no, taki powolny wykonawca jego planów.

— Wiesz, ja słyszałem, kto mi to opowiadał? Russo zdaje się—o jakimś romantycznym romansie dawnym pomiędzy tą ładną panią Szymonowiczową, a ową nową gwiazdą ormiańską.

— Tak, tak... coś to niby mówią, a raczej przypominają sobie, ale to dawne czasy. Jeżeli co pomiędzy niemi było, zdążyło już wywietrzeć i rozwiać się na cztery strony świata. Zresztą Ohana jest za mądry, ażeby odgrzewał stare miłości, kiedy ma pań cały rój koło siebie.

— Mówią także — zrobił uwagę, — że asystuje Józi, że myśli się o nią starać.

— Toby dobrze było — dodał szeptem, — bo ten człowiek mi się podoba; to z innej rasy ludzi—inteligentna bestya i rozum ma choć uniwersytetu nie kończył.

— A przedewszystkiem, bogaty, bogaty, nie żaden chłystek, chcący się dorabiać, to solidny człowiek... Nikoreszty bracie, te Nikoreszty jego, to fortuna magnacka.

— Już to wy tylko na te pieniądze liczycie. Tu w tej Bessarabii o niczem mowy nie ma tylko o pudach, o karbowańcach i rublach; żeby też jak gdzieindziej na świecie...

— Bo to grunt — przerwał starszy brat, — to grunt, po za tem wszystko dyabła warte. Ciebie zawsze ciągnie ten swąd poetyczny, którym oddychałeś.

Panie tymczasem naśmiawszy się z dowcipów starego Bohdanowicza, opuściły towarzystwo i udały się do numerów, by spakować rzeczy do drogi, gdyż wieczór się zbliżał.

— Będzie deszcz, a może burza — zwrócił się pan Kajetan do Ohany.

— Zapewne. Ja jej oczekiwać nie myślę i zaraz z Tigranesem ruszam do domu.

— I my także, nie ma tu co robić, dosyć tego jarmarku.

— Ale, ale!... — rzekł cicho z uśmiechem dobrodusznym na twarzy, — podobno się starasz o Antoniewiczównę?

— O którą?

— Jakto o którą? Pytasz się? Daj pokój, mądryś ty, mądry, lecz i ja nie jestem głupi! Masz gust, Józia ładna dziewczyna, a gospodarna, powiadam ci, o, jaka gospodarna...

Ohana słuchał, w oczach mu świeciło szyderstwo pomieszane z jakimś odcieniem żalu.

— Panna i do tańca i do różańca. Powiadam ci, będziesz z niej kontent. Znam ją nie od dzisiaj, starych również znam; cała rodzina porządnych, zacnych ludzi, a przytem i to nie zawadzi: weźmiesz ze sto tysięcy rubli gotówką.

— Tylko? — podchwycił Ohana udając zajętego.

— A co—mało? Pokaż-że mi pannę, którąby tu w naszej Bessarabii więcej miała? Zresztą o to mniejsza! Tyś wart dziesięć razy tyle naprawdę, i ja gdybym miał jeszcze jedną córkę, tobym ją sam swatał za ciebie.

Ohana roześmiał się sarkastycznie i rzekł:

— Szkoda, że los zrządził inaczej... Choć wątpię, czy jabym sam bez Nikoreszt, bez pieniędzy był i teraz co wart dla pana.

Stary się zmieszał i wyszeptał prędko.

— Jeszcześ nie zapomniał? Stało się, jam nie Duch Święty, nie wiedziałem co się z ciebie wyrobi. Kto tam przypuszczał. Zresztą gdybyś się był osiedlił tutaj, między nami, w młodym wieku, a ożenił z Helcią, tobyś może tak biedę klepał, jak inni...

I kontent, że mu się udało wykręcić z niezręcznego zagabnięcia Ohany, powtarzał:

— Kto wie, coby było? Może ty nietylko losowi, lecz i mnie pośrednio zawdzięczasz to, co masz i czem jesteś.

Ohana słuchał, patrząc na tego starego, którego instynktowo nienawidził serdecznie za wyrządzoną sobie krzywdę, śmiał się dalej śmiechem tłumionym, pełnym osch łości i sarkazmu.

— Ale mniejsza o to; nie ma co wspominać. I tobie dobrze, i Helci dobrze—z przeznaczeniem nie równa jest walka. Ani ty do niej, ani ona do ciebie nic nie ma; zresztą ona już czas swój jakby przeżyła, a ty jesteś jeszcze młody, za kilka lat mógłbyś się z Zosią żenić i wiem, żeby ci przeszkód nie stawiano. Lecz, powtarzam, to są marzenia, tak marzenia, kombinacye. A ja ci powiem jedno: ty się żeń z tą Antoniewiczówną! Ty wiesz — ciągnął dalej, zbliżając się coraz bardziej do stojącego nieruchomo Ohany, — ty wierz, ja ci dobrze radzę, chcę twego dobra, bo mi się podobasz, bo mi się bardzo podobasz. Gdybym Antoniewiczów nie znał, nie radziłbym, dalibóg nie.

Zatrzymał się chwilkę i znów prawił:

— Ja ci chcę tym swatowstwem wynagrodzić ansę, jaką do mnie mieć możesz z lat dawnych, i dlatego do ciebie się z tem odzywam. Wierz mi, szczęście i powodzenie twoje leży mi na sercu tak, jakbym czuł jeszcze względem ciebie obowiązki opiekuna.

— Ty mi wierzysz, Owanes?—pytał tym miękim, serdecznym tonem, który ujmował Ohanę i łagodził w nim nienawiść do starego.

Chociaż więc chciał nagle przerwać tę rozmowę, która go drażniła, opanował się jednak i odrzekł przyciszonym głosem:

— Wierzę wam, panie Kajetanie! Czuję wasze dobre chęci, waszą sympatyę dla mnie i dlatego ten żal, jaki mam do was, rozwiewa się powoli, ale oświadczam wam, że starać się o pannę Antoniewicz nie będę i próżne są wasze namawiania w tym względzie.

Słowa te były powiedziane tak stanowczo, iż stary przybladł nieco i pytał zdziwiony:

— Dlaczego? Może inne masz widoki?

— Inne?... Może...

— A jakież to?

— Jak wam powiedzieć, jakie?...

I oczy mu zaszły smętnem zamyśleniem, spojrzał na starego, potem na gwiazdy, migocące w górze tym jednym stałym mieniącym się migotem i rzekł:

— Ja mam oddawna narzeczoną, chociaż o niej nie mówię. Ona mieszka nie tu, nie w Bessarabii, lecz tam, zkąd mię los przypędził. Jeżeli ten sam los zrządzi wedle pragnienia mego, to się z nią ożenię.

Stary zdziwiony stał i przypatrywał się Ohanie, który utkwiwszy wzrok w błyszczącą niepewnie gwiazdkę, zdawał się nań nie zwracać uwagi, jakby myślą gonił za ową narzeczoną z dalekiego Wschodu.

— Domyślam się, musi być jaka milionerka, którą chcesz olśnić nas, stepowców.

Ohana uśmiechnął się i powiedział:

— Może!...

A w tejże chwili gwiazdka błyszcząca nad nim tak jasno, tak cudownie znikła po za czarnym obłokiem sunącym po niebie.

— Trzeba jechać — ozwał się, czekając na Tigranesa, który właśnie zbliżał się do nich.

— To i na mnie pora.

— Pan nie zostaje do jutra?

— Nie. Dosyć mam już tego jarmarku. Na mnie starego i to za wiele — odparł pan Kajetan, próbując daremnie ukryć pomieszanie, które się rozsiadło jak jaka cieniutka pajęczyna na pomarszczonem jego czole. Nie mógł dobrze zrozumieć zagadkowego wybiegu Ohany i męczył się bezwiednie.

— No, może do nas zajrzysz którego dnia? — rzekł, podając mu na pożegnanie rękę.

— Owszem; ale sam chciałem was prosić, ażebyście mnie odwiedzili, pogadalibyśmy o tem i o owem.

— Dobrze — zakończył pan Kajetan, odchodząc w stronę swojego faetonu, który stał już zaprzężony w parę rosłych kasztanów i czekał na niego.

Ohana zaś ujrzawszy Tigranesa w bramie zajazdu rozmawiającego z Muńką, zawołał nań pytając, czy konie już wysłał, i czy wszystko już gotowe do drogi.

— Konie poszły o samym zachodzie słońca — mówił Sacharyan, — a do powozu kazałem zaprzęgać.

— Sprawunki wszystkie załatwione?

— Wszystkie.

— To jedziemy zaraz!

— Czemu zaraz? — usłyszał po za sobą głos eleganckiego pana Antoniego, który z nieodstępnym Russem stał za nim i słuchał ormiańskiej rozmowy z Tigranesem.

Odwrócił się do nich i powiedział:

— Bo już nie mam tu co robić.

— A to!... Teraz się dopiero odpoczynek zaczyna — mówił swym tubalnym głosem Mołdowianin. — Będzie wint, tańce cygańskie, kolacya z winami...

— Zostań pan — namawiał Antoniewicz, — co tam pan będziesz się spieszył; Russo obiecał urządzić cały odpoczynek jarmarkowy programowo.

— Tak, tak — potwierdził Russo, — wszystko będzie jak z karty; dla każdego zadysponowałem takie danie, jakie lubi.

— To pan zna gusta wszystkich? — pytał z uśmiechem Ohana.

— A jakże! Pan Antoni będzie miał taniec cyganki, która go tak zachwyca. Dla Domaszkanów i Demianowiczów wint; dla nas braci Mołdawian drugi wint z mamałygą i bryndzą.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KRONIKA.

Nauka i Wykształcenie.

W Łodzi otwarto prywatną szkołę rzemiosł dla dziewcząt pochodzenia żydowskiego w zakresie trzy klasowym. Nie przypuszczamy, aby pracowniczkom naszym na tem polu, wytworzyć mogły w przyszłości uczennice tego zakładu poważną konkurencyą, znaną jest bowiem oporność rasy semickiej przeciw wszelakiemu trudowi, któryby łączył wytworność z sumiennością wykonania. Natomiast wydaje nam się pożądanem, że te uczennice kształcić się mają w szkole własnej—pożądanem z wielu bardzo względów.

Odczyty.

U chemików odczytał p. J. Pietraszyński pracę swoją o wyrobie prochu bezdymnego, a p. H. Stetkiewicz o fotometrze Mascart'a.

Literatura i Piśmiennictwo peryodyczne.

Wyszedł z druku tom VII prac matematyczno-fizycznych pod kierunkiem pp. S. Dickstein, Wł. Gosiewskiego, Edw. i Wł. Natansonów, A. Witkowskiego i K. Żórawskiego.

Zeszyt 164 Słownika Geograficznego.

Od 1 Stycznia r. p. 1897 wychodzić u nas będą obok istniejących dotąd, dwa nowe pisma lekarskie: „Kuryer Lekarski" dwa razy tygodniowo i „Krytyka Lekarska" miesięcznik.

„Cyklista" warszawski odniósł się do Zoli z zapytaniem, ażali istotnie zamierza on pisać powieść poświęconą sportowi, i na ten wypadek zamawia sobie organ warszawskich kołowców pierwszeństwo co do tłómaczenia na język polski tego przypuszczalnego arcydzieła. Zola odpowiedział, że umiera z chęci przysłużenia się światu myślącemu uchwyceniem w ramy romansu jednego z najdomośleiszych objawów współczesnego ruchu *umysłów* i nóg zarazem, ale że prawdopodobnie dużo jeszcze wody upłynie w Sekwanie, zanim na tę pracę przyjdzie kolej.

Jest to zresztą łatwo zrozumiałem, bo do tego tematu równie lekkiem sercem jak do innych przystępować się nie godzi. Rozumie to dobrze Zola tak jak i cały ogół myślący, więc możeby tak, zanim się autor „Rzymu" namyśli, zabrał się który z miejscowych wielbicieli kunsztu, do pracy oryginalnej, co jest o tyle możebniejszem, że już w intytulacyi traktuje Zola autorów missywy per „Szanowny kolego." Ośmieleni tym pierwszym sukcessem panowie sprężyści odnieśli się podobno do wszystkich wybitniejszych u nas ludzi pióra z prośbą, aby im ze szczerością możliwą odpowiedzieli „co oni myślą o... cyklizmie!!."

Kto doradził panom cyklistom ten kwestyonaryusz— nie wiemy, a nawet nie odgadujemy, ale przypuszczać nam wolno w każdym razie, że to musiał być złośliwy jakiś — bardzo nawet złośliwy człowiek.

Zapytywać ludzi seryo, co oni myślą o cyklizmie... Doprawdy! Wszystkiego w tych naszych biednych czasach doczekać się można.

Kobiece odznaczenia na polu nauki.

Pani Izabella Czarnomska mianowana została ordynatorką kliniki chirurgicznej dla dzieci, przy Akademii wojenno-lekarskiej w Petersburgu.

Warszawianki pp. Zofia Bosakówna i Justyna Winiarska uzyskały licencyat Uniwersytetu genewskiego.

P. Wanda Haberkant z Kalisza dyplom chemika.

Zmiany osobiste w instytucyach.

W zarządzie kassy imienia Mianowskiego, stanowisko wice prezesa obejmuje doktór Konrad Dobrski. Miejsce ustępującego z komitetu profesora Piotra Chmielowskiego zajmie p. Bronisław Chlebowski. Sekretarzem kassy mianowany p. F. Kucharzewski na miejsce p. Libickiego, który to stanowisko opuścił.

Komunikacye.

Właściwe władze udzieliły pozwolenie przedsiębiorcom prywatnym na otwarcie komunikacyi samochodami pomiędzy Piotrkowem a Łodzią i takiejże między Łodzią a Kaliszem.

U nas w Warszawie konsorcyum złożone z pp. inżyniera Sokala, adwokata K. Budnego i przemysłowca St. Grodzkiego, wystąpiło do magistratu z propozycyą tego rodzaju. Miasto udzieli koncessyonaryuszom wyłączne na 50 letni okres czasu prawo eksploatowania linii od Placu Krasińskich przez Miodową, Senatorską, Plac Teatralny, Wierzbową, Plac Saski, Mazowiecką, Warecką, Szpitalną do Placu III krzyżów. Do komunikacyi będą zastosowane samochody elektryczne a służyć one będą zarówno do ruchu pasażerskiego i towarowego.

Jest to w każdym razie początek ruchu, który się na zachodzie Europy i w Nowym Świecie z niesłychaną energią rozwija, i który zagraża wielu dotychczasowym środkom lokomocyi.

Jest też jednomyślnem prawie przekonanie, że wynalazkowi temu sądzono odegrać wielką rolę w stosunkach ekonomicznych, a nawet na rozwój ogólny nie pozostanie bez wielkiego wpływu samochód, który jeden tylko połączyć może punkta odleglejsze z centralnemi ogniskami życia umysłowego i ekonomicznego.

Orkiestra warszawska.

Zapowiadana, obiecywana, odraczana, krytykowana, jak nie mogła dotąd, tak nie może i dzisiaj obudzić otuchy w tych, którzy jej wyczekują.

Koncerty dawane przez orkiestrę pozostawiać miały wiele do życzenia, mówią jedni, dochód z koncertów dawanych przez tę orkiestrę zbyt małym był, aby zań jak należy personel opłacić można, powiadają drudzy.

Sekcya orkiestrowa żąda zebrania funduszu gwarancyjnego na lat 3, ale na ten fundusz zebrało się dotąd dopiero około 1,000 rubli, a to jest niedostateczne.

Nadto jedni myślą dla orkiestry o salach redutowych, drudzy chcą, aby miejsce dla tych produkcyj było czemś podobnem do sal koncertowych niemieckich, pełnych stolików, dymu tytuniowego i gambrynusowego napoju. Takiej sali dotąd nie mamy, ale spodziewamy się jej w niedługim czasie to jest za jakieś dwa lata najwcześniej. Zanim to nastąpi, orkiestra musi pomyśleć o jakiemś dla siebie prowizoryum, któreby jej tymczasowy byt zapewnić mogło. Stanęło podobno na tem, aby odwołać się do kilku znanych tutejszych melomanów, którzy przecież sprawę tego funduszu gwarancyjnego pomiędzy sobą rozstrzygnąć powinni. Czy rozstrzygną — zobaczymy.

Wypadki.

W dniu 20 Listopada o godzinie 12 w południe, usłyszeli mieszkańcy miasta Końskich w gubernii Radomskiej, huk gwałtowny połączony z ukazaniem się wielkiego słupa dymu i ognia. Z pod gruzów, powstałych ze zburzenia dwóch domów wysadzonych w powietrze, wydobyto młodą żydówkę z lekkiemi obrażeniami na ciele, ale z zupełnem, na razie przynajmniej, pomięszaniem zmysłów.

Jak się zdaje, przyczyną eksplozyi był przechowany u jednego z mieszkańców zapas dynamitu przeznaczonego na użytek górniczy.

Zmarli.

Ks. Fr. Przyniczyński, redaktor „Opiekuna katolickiego" wychodzącego w Gliwicach na Szląsku.

Dnia 9 Listopada w Piotrkowie Kazimierz Stronczyński, archeolog i numizmatyk, członek krakowskiej Akademii umiejętności, w wieku lat 87.

Wskazówki i rady.

Legumina czyli tort z kasztanów.

10 łutów młodego masła utrzeć na śmietanę, 4 łuty oparzonych i drobno utłuczonych migdałów słodkich, 8 łutów upieczonych, obranych kasztanów, ważąc po upieczeniu i obraniu, przetrzeć przez rzadkie, druciane sito, ćwierć funta miałkiego cukru pudru, włożyć wszystko w utarte masło, wymieszać i dokładać po jednemu 7 żółtek, trąc ciągle w jedną stronę podług zegarka 20 minut. Wtedy ubić białka na pianę, wymieszać masę z pianą, kładąc massę do piany, nie jak to zwykle się dzieje, pianę do massy, lekko szybko wymieszać, wstawić na pół godziny w dobrze ciepły ale nie gorący piec, bo w gorącym podniesie się a następnie opadnie i uformuje się zakalec. Do tej leguminy podaje się sos śmietankowy. Cztery żółtka ubić z czterema łutami cukru, zagotować kwaterkę śmietanki, sparzyć nią ubite żółtka i trzymać na ciepłym trzonie, mieszając aż zacznie gęstnieć, odstawić, ostudzić i podać w sosierce.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

Odpowiedzi od redakcyi.

Niedoświadczonej gospodyni. O dobrej maszynie do prania nie wiemy. Sądzimy, że całem ułatwieniem jest wyżymaczka, a resztę pozostawia się rękom ludzkim. Co do kwiatów radzimy sz. pani wypisać sobie wydane przez Towarzystwo ogrodnicze dziełko Dursta p. t. Hodowla kwiatów pokojowych. Adres: Bagatela numer 5. Cena kop. 40 bez przesyłki.

W-ny Ant. Olszewski. Metoda kroju Głodzińskiego. Cena z linią rubli 5, Warszawa, księgarnia M. Arcta.

W-na Zof. Kosier. w Nol. Kroje i desenie otrzymuje nasze pismo z zagranicy gotowe.

W na Iżycka st. Arapowa. Skład robót kobiecych Zanders, Senatorska 4.

☞ Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami i dla prenumeratorów na prowincyi Cennik Zabawek i Gier towarzyskich Müllera.

Дозволено Цензурою, Варшава 12 Ноября 1896 г. Warszawa, Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca **Jan Skiwski.** **DODATEK.**